

Anna Lechicka

nie

zachwyciła się

POKUSA, filmem włosko-zachodnoniemiecko - hiszpańskim, w reż. M. Vicario.

Starszym widzom włos jeży się na głowie ze zgrozy, młodzi zaśmiewają się bez większego zrozumienia, słuszność zaś, jak zawsze, leży pośrodku. Bo sprawa celibatu księży jest problemem coraz żywiej dyskutowanym na Zachodzie, zagadnienie istnieje, choć dalibóg wydaje się to wszystko jakieś anachroniczne, zwłaszcza u nas, gdzie sprawy kleru nie są tak żywo związane z życiem społeczeństwa, jak np. we Włoszech czy w Hiszpanii.

Nielatwo chyba jednak zrobić naprawdę dobry film na ten temat, a już zrobienie komedii wydaje się pomysłem nieco karkołomnym. Oczywiście śmieszny niesłychanie postać księdza świeżo przybyłego ze wsi sycylijskiej do parafii w Rzymie po to, by całymi dniami spowiadać piękne grzesznice. Film chciałby być dowcipny i głęboki zarazem, niestety, ani jedno ani drugie nie wychodzi. Dowcipy w miarę akcji coraz cięższe, a zamiast głębi raz po raz ukazuje się dno.

Dna takiego sięgają twórcy inscenizując nam erotyczno-obsesyjne sny nieśczęsnego księdza, np. w formie baletu en deux pośrodku łoża. Całość kończy się cytatem z listów św. Pawła na temat, iż lepsze jest małżeństwo niż ogień piekielny.

Helena Kopuszowa

obejrzała

sztukę J. Abramowa KLIK-KLAK w Teatrze Polskim (Sala Kameralna)

Gdyby sztuki teatralne można było tylko zaczynać, lecz ich nie kończyć każdy mógłby być autorem dramatycznym. Każdy może bowiem wpaść na pomysł w rodzaju: „siedzi dwóch facetów na ławce w parku i rozmawia”, albo „carski oficer, bojowiec i kokota zatrzasnęli się w windzie między piętami”. Ale co potem z tym zrobić?

O czym mają rozmawiać i po co? Albo jak wyprowadzić ich z windy?

Jarosław Abramow, autor sztuki „Klik-klak” miał pomysł na początek: starsza pani, ongiś — a jeszcze i teraz — pełna uroków, zaprasza na jeden wieczór po kolei swojego pierwszego męża — przedwojennego pułkownika, swojego drugiego męża — przedwojennego dyplomata, swojego trzeciego męża — powojennego podsekretarza stanu, a na dodatek swojego obecnego amanta — młodego półgłówka.

Zaczyna się świetnie. Pułkownik i dyplomata przerzucają się ze sceny świetnymi i bardzo odważnymi dowcipami na temat legionów, Marszałka i pułkownika Becka; rzecz przed wojną nie do pomyslenia. Z podsekretarzem stanu idzie nieco oporniej, bo przecież nie ma się z czego śmiać. Kiedy wchodzi młody człowiek, sztuka zaczyna się dusić. A raczej w sztuce zaczyna się duszenie, czyli po prostu jeden z ex-mężów postanawia — ku uldze innych — udusić bohaterkę. Jest to jedyne wyjście, logiczna pointa. Również ci faceci na ławce mogą przecież nagle, ni stąd ni z owąd, zamordować jeden drugiego. Albo ci w windzie mogą się podusić. Abramow znalazł wyjście z pomyslanej przez siebie sytuacji. Publiczność znajduje wyjście z teatru o jeden akt za późno. Sztuka zaczyna się piana, a kończy szumowiną. Autorowi nie dopisują poczucie smaku. Sentyment starego pułkownika do uroczej starszej pani jest czymś innym niż zakusy starszej pani (pierwsze małżeństwo w roku 1929) wobec sublokatora-nastolatka. Pierwszy pachnie naftaliną, pomieszaną z zapachem zeszlętych kwiatów — drugi zapachami docierającymi z pobliskiej „Kameralnej”, knajpy kategorii „S”.